

## 1. Jak to się dziwnie zaczęło

Tatko od wielu lat pracował w Kaminsky Transporter. Wiedziałam, że i mnie tam kiedyś spróbuje wepchnąć – chcieliśmy tego oboje, ja i moi rodzice, zwłaszcza zaś tatko. On chciał tego ze względu na prestiż firmy, ja ze względu na Arcadego Kaminsky – czyli zamerykanizowanego Arkadiusza Kamińskiego. Urodził się w Chicago, tam jego rodzice także przyszli na świat, lecz ponoć tęsknota za krajem przodków sprowadziła ich aż tutaj, do Polski. I dobrze, bo inaczej nigdy nie zobaczyłabym miłości mojego życia!

Dlaczego on? Brązowe oczy, czarne włosy, idealna sylwetka i wzrost. Pasował do mnie pod każdym względem... tylko że ja nie pasowałam do niego pod żadnym. Tekla Różalska, dwudziestopięcioletnia dziewczyna po studiach, szukająca stanowiska w poważnej firmie. Jakież mogłam mieć szanse?? Obiecałam sobie, że jeśli decyzja będzie pozytywna – złożyłam tam papiery miesiąc temu, a tatko miał dyskretnie zapytać co i jak – wrzucę blond na włosy, przybiorę sobie cudowne imię, którym będę się na co dzień przedstawiać i... Byłam pewna, że seksownym imieniem: Laura, zwrócę uwagę Arkadego i zyskam tym u niego plusa.

– Teci! Masz posadę! Zgadnij, gdzie! – powiedział uradowany tatko, gdy wrócił dziś po południu z pracy. Był tylko szefem zmiany, nie jakimś tam dyrektorem, ale... – Dzięki temu, że wyświadczyłem kiedyś przysługę dyrektorowi Arkademu, zgodził się przyjmując cię na staż, jako asystentkę w jego biurze! Na początek to będzie miesiąc, wiesz, żebyś się jakoś rozgrzała, a później kto wie! Może przyjmie cię na stałe!?

Byłam pewna, że Arkady Kaminsky jest w stanie rozgrzać każdą piękną kobietę. Lecz czy ja byłam piękna? Jeszcze tego wtedy nie wiedziałam, że nie chodzi o seksowne imię czy blond włosy.

Tatko zajął swoje ulubione miejsce przed telewizorem i, zadowolony z siebie, otworzył swoje ulubione piwko. Kiedy pił, piana ściekła mu za kołnierz. Zaśmiałam się. Zawsze był niechlujny, więc nie zwróciłam mu uwagi – i tak siedział w roboczych ciuchach.

„Tekla, obudź się! Masz to, czego chciałaś!” – zastukała do mnie przyjaciółka „przytomność”.

– Och! – spanikowana, poderwałam się nagle na równe nogi z fotela. Właśnie przeglądałam najnowszą gazetę z przepisami na muffinki<sup>1</sup>, która wypadła mi z rąk. – Tato, kiedy mam zacząć ten staż?!

– Od poniedziałku, ptaszynko, a co? Coś tak zbladła?

– Tato, jest piątek po południu! Ja muszę kupić coś odpowiedniego do biura, muszę iść do fryzjerki!

– Dlaczegoż to? – pytał dalej, jakby nie zależało od tego moje życie.

– Bo tam trzeba wyglądać! – Zamrugałam do niego moimi ciemnymi rzęsami. Dobrze wiedział, o co mi chodzi. Leniwie wstał z fotela, przemierzył nasz niewielki pokój salonowy i zatrzymał się przy wieszaku na ubrania. Potem sięgnął do swojej roboczej kurtki i wyciągnął z kieszeni portfel. Przez chwilę grzebał w jego zawartości, w przegródce przeznaczonej na grubsze nominały. W końcu zdecydował. Wyciągnął stamtąd dwieście złotych.

– Tyle ci starczy? – zapytał.

Ta ilość mamony nie była dla mnie satysfakcjonująca. Nie żebym była materialistką, ale chciałam wyglądać naprawdę dobrze.

– Nie – rzekłam najgrzeczniej i najprzymilniej jak potrafiłam. – Przydałoby się jeszcze... troszeczkę więcej – wskazałam mu mniej więcej objętość tego „więcej” dwoma palcami mojej prawej dłoni.

– Kieszonkowe już wydałaś? – zdziwił się.

---

<sup>1</sup> Muffinki – ciastka babeczki pieczone w małych foremkach

- Nie, ale...
- No dobra, masz jeszcze sto i jesteśmy kwita! – podał mi trzy zielone do ręki.
- Jesteś wielki, tato! – Cmoknęłam go w policzek i poleciałam przygotować się na zakupy.

Czy można kochać różowy, będąc posiadaczką długich czarnych włosów? Mnie się wydawało, że nie, ale nie dlatego podjęłam dziś decyzję o farbowaniu. Chyba po prostu zbyt wiele naczytałam się bajek o blond księżniczkach lub naoglądałam filmów, gdzie sekretarka jest długonogą blondyną. No a przecież każdy facet uwielbia jasnowłose, niezbyt rozgarnięte dziewczęta, które chętnie rozkładają przed nimi nogi... Powiedzmy, że ja chciałam najpierw zarzucić haczyk, a potem pokazać swoją prawdziwą, niezbyt „otwartą na rozkładanie się przed kimś” twarz.

Poszłam do galerii, gdzie miałam wszystko na miejscu: papierniczy, ciuchy i fryzjera. Wystarczyło to tylko mądrze rozegrać, żeby załatwić wszystko w jednym miejscu. Zatem najpierw zajęłam sobie kolejkę u fryzjera, potem poleciałam na szybkie zakupy papiernicze – długopis ze strusim piórkim, różowe karteczki do notatek i najważniejsze: różowy terminarz, żeby wszystko dokładnie sobie zawsze zapisać. W tym temacie nie chciałam okazać się w oczach Arkadego „blondynką”. Terminowość, notatki, zasady. I poszłam z tymi zasadami do butiku, gdzie również znalazłam coś w różu...

– Nie, to nie to – rzekłam, stanąwszy przed lustrem. Sukienka miała zbyt duży dekol. Nie mogę się mu podać jak na tacy. – Podziękowałam za miłą obsługę i wyszłam.

Butik numer dwa także nie przyniósł mi wymarzonego efektu. Babcyne<sup>2</sup> ciuchy nie przemawiały do mnie. Wiedziałam, że łowy ciuchów zajmą mi znacznie więcej czasu, dlatego nie przerażało mnie godzinne czekanie na moją kolejkę w salonie fryzur.

W niektórych sklepikach odstraszały już same ceny i nadęte paniusie, które nie mogły niczego dobrego poradzić innej kobiecie, żeby ta nie była ładniejsza od nich. W końcu zaszłam aż na koniec galerii i trafiłam do taniego buticzku z klasą, w którym nieraz z mamą kupowałyśmy ciuszki na poważniejsze okazje. Jak tylko stanęłam w progu i zobaczyłam bajeczny kostiumik, który wisiał na wprost wejścia...

– To! – zdecydowałam i podeszłam prosto do manekina, po drodze minąwszy sprzedawczynię.

– W czymś pomóc?

– Muszę mieć ten kostium w moim rozmiarze. Góra trzydzieści siedem, dół trzydzieści osiem. Tylko błagam, niech pani to ma!

Brunetka zaczesana w kucyk, ubrana w czarny kostium i białą bluzkę z kołnierzykiem, zerknęła na mnie sympatycznie zza swoich okularów.

– Oczywiście, że mam. Stoi przed panią – wskazała na manekin.

Wyglądało na to, że jakiś ubraniowy anioł stróż zawiesił ten żakiet i spódnicę w tym dokładnie dniu i miejscu – czyż to nie przeznaczenie?!

– Biorę!

– Nie przymierzy pani?

Zerknęłam na zegarek.

– Ryćkum-tyćkum! – Poczulałam przysłowiowy nóż na gardle. – Za minutę mam być u fryzjera!

Proszę to zapakować, płacę!

Pani w miarę sprawnie zapakowała kostiumik do reklamówki. Rzuciłam jej sto pięćdziesiąt złotych na ladę, nawet nie wzięłam paragonu.

– Dziękuję! Za napiwek także!

Początkowo jej nie zrozumiałam. Dopiero potem kapnęłam się, że komplet kosztował sto złotych! A sto pięćdziesiąt miałam zapłacić u fryzjera! Tymczasem ruszyłam przed siebie, żeby

---

<sup>2</sup> Babcyne – staromodne, uszyte dla starszej kobiety

zdażyć do salonu. Na szczęście miałam na nogach moje trampki! I właśnie przebiegałam koło stoiska z lodami włoskimi, kiedy ktoś zastąpił mi drogę...

– Jak łazisz, głupia babo! – jęknął jakiś nastoletni przystojniak, którego lód wylądował na podłodze.

– Przepraszam, bardzo się spieszę! – Drżącymi dłońmi wydobylam z portfela dziesiątkę i podałam go wkurzonemu blondaskowi.

Burknął coś i zwrócił się ku stoisku, aby kupić następną, wysoką porcję lodów. Zagapiłam się na cenę i smakowity widok tego kręconego lodzika i... trach!

– Ryćkum-tyćkum!<sup>3</sup> – jęknęłam. „Cholerne lody!” Zapomniałam, że leżą tuż u moich stóp. Nie dość, że się na nich przejechałam, to jeszcze usiadłam sobie w sam ich środek. Mokra, błotniście i ten ból kości ogonowej!

Blondasek zaśmiał się złośliwie. Dopiero jakaś współczująca dusza, nastoletnia dziewczyna ubrana w czarny strój heavy metalowy, z całą masą kolczyków na twarzy, podała mi dłoń. Pomogła mi wstać i wyciągnęła z torebki chusteczki higieniczne.

– Proszę, możesz je zatrzymać.

– Dzięki! Spiesz mi się, mam do fryzjera na rozjaśnienie...

– Serio? – zdziwiła się i skrzywiła z pogardą. – Masz zajebisty kolor. Mnie by było szkoda. Ja miałam blond, a teraz czarna smoła – uśmiechnęła się zdawkowo i poszła sobie.

Wyciągnęłam jedną z chusteczek i wycierając się na przemian raz jedną, raz drugą ręką, szłam do celu. Tym razem już nie biegłam. Miałam mokre, brudne jeansy. „Czy wpuszczą mnie do tego salonu?”

Kiedy stanęłam w drzwiach, okazało się, że fryzjerka właśnie kończy układać fryzurę jakiejś starszej ode mnie pani. Nie miałam czasu na to, żeby lecieć do WC i zapierać spodnie. Dlatego kiedy przyszła moja kolej, ze wstydem podeszłam i rzekłam:

– Przepraszam, czy może mi pani podłożyć ręcznik? Mam mokre spodnie.

Elegancka blondi z kupą tapety na twarzy zerknęła na mnie podejrzanie.

– Nietrzymanie moczu w tym wieku?

– Nie, to nie to! To tylko te robione na miejscu lody!

– Słucham?! – popatrzyła na mnie, jakby miała na myśli coś sprośnego.

– Usiadłam na lodzie – odwróciłam się i pokazałam jej brudne jeansy, żeby nie kojarzyła sobie lodów z erotycznym zabiegiem, który galerianki serwowały swoim klientom w zamian za jeansy.

– Aha! – zaśmiała się, kiedy skapowała, o czym mówię. – Zaraz dam ręcznik!

– Ryćku-tyćkum – jęknęłam pod nosem. „Ale wstyd!” Odkleiłam od tyłka jeansy, potem majtki. „Okropieństwo! Chyba znienawidzę lody! Ale tylko do przyszłej soboty.”

Miałam w uszach echa mojej rozmowy z panną heavy metal. „Blond czy nie blond? Oto jest pytanie.”

– To co robimy? – zapytała mnie blondyna po wyjściu z zaplecza, gdzie miała okazje wyśmiać się ze mnie do rozpuku przed swoją koleżanką. Wydać było, że przybrała względem mnie formę „młoda, może w moim wieku, to po co jej *paniować*?!” Przymknęłam na to oko, jak zwykle, i odparłam:

– Czarny blond.

Zapanowało kłopotliwe milczenie.

– Co proszę?! – Zamrugała na mnie w lustrze swoimi doklejanymi rzęsami, które przypominały mi połówki ciał czarnych motylków.

– Eee... blond!

– Na czarnym? Najlepiej utlenić. Inaczej wyjdzie brudny.

---

<sup>3</sup> Ryćkum-tyćkum – śmieszne powiedzonko głównej bohaterki, właściwe znaczenie znane tylko Teci  
49 WSTCHNIENIĘ Teci Ewelina C. Lisowska – fragment książki dla Ebookpoint – WSZELKIE PRAWA  
ZASTRZEŻONE

- Niech pani zrobi tak, żeby był blond. Sposób mnie nie obchodzi.  
– Jasne! – odparła i założyła na dłonie różowe rękawiczki. Potem zaczęła wyciągać te wszystkie sprzęty... – Jesteś pewna? – Zerknęła na mnie, zanim przystąpiła ostatecznie do działania.  
Westchnęłam ciężko:  
– Tak – „raz kozie śmierć”.

W poniedziałek rano, na miękkich nogach jak z waty i z galopującym sercem, weszłam do biurowca, w którym siedzibę miała kadra zarządzająca firmą. Kaminscy od kilkudziesięciu lat prowadzili firmę transportującą różne towary na eksport. Czasem przywozili coś do kraju – tatko dobrze wiedział co i jak, ale nic mi nie mówił zbyt wiele, bo to tajemnica zawodowa. Wjechałam na piąte piętro windą, tam w biurze dyrektora czekał już na mnie Arkady Kaminsky! Szłam tam, już prawie byłam na miejscu... gdy odezwały się nagle potrzeby wyższe. W pośpiechu znalazłam więc WC. Musiałam jeszcze tylko sprawdzić, czy wszystko dobrze z moimi włosami. W lustrze ujrzałam długowłosą blondynkę o ciemnych oczach, zamaskowanych okularami z różową obwódką. Miałam na sobie białą bluzkę, szary żakiet i różową spódniczkę za kolano, ozdobioną krzyżującymi się, wąskimi, czarnymi liniami tworzącymi kratkę. Rajstopy cieliste, baleriny różowe, torebka różowa, a tam moje różowe bibelotki<sup>4</sup>... Nie, to nie przypadek: byłam przekonana, że różowy to esencja miłości. Od zawsze stawiałam ten kolor na pierwszym miejscu w mojej palecie wartości barwnych.

– Laura – uwodzicielsko szepnęłam przed lustrem i zrobiłam seksowną, moim zdaniem, minkę. Lecz gdy dziesięć minut później stanęłam przed dużym, zastawionym trzema monitorami biurkiem szefa, zapomniałam, jak miałam się nazywać i...

– To pani na staż, tak?

– Tak.

Popatrzył na mnie znad monitora, jakby oczekiwał na coś jeszcze. W moich myślach robił emocjonalne spustoszenie zapach jego męskich perfum.

– Imię i nazwisko? – zapytał tym swoim seksownym głosem.

– Tekla Różalska... – wypowiedziałam prawdę. – Ale proszę do mnie mówić Laura.

„Cholercia, miałam powiedzieć coś całkiem innego!”

– Dlaczego?

– Bo Tekla to się tylko z pajakiem kojarzy<sup>5</sup> – palnęłam gafę.

Arkady uśmiechnął się i zasłonił wierzchem dłoni swoje usta. Rozbawiłam go. „Dobrze? Źle?”

– To może zastosujemy zdrobnienie? Przecież nie nazywa się pani Laura.

– Zdrobnienie?

– Niech pani coś wymyśli, ja nie mam czasu – właśnie rozdzwonił się jego telefon. – Kaminsky Transporter... – zaczął oficjalnym przedstawieniem się. Wziął do dłoni umowę dla mnie i podał mi ją, po czym wskazał drzwi. Domyśliłam się, że umowę mam pokazać sekretarce.

Wysłałam na paluszkach, żeby mu nie przeszkadzać. W gabinecie obok miała swoje stanowisko pracy jego sekretarka. Spodziewałam się długonogiej blondyny rodem z opery mydlanej, dlatego tym bardziej zdziwiłam się, że za drzwiami siedzi sobie elegancka brunetka z długimi, lśniącościami włosami. I wcale nie była taka superwysoka. Ale za to bardzo ładna. Na mój widok oderwała się od pisania na klawiaturze i przejechała po mnie z góry na dół swoim krytycznym wzrokiem.

– Pani do kogo? – zapytała szorstko.

---

<sup>4</sup> Bibeloty – akcesoria damskie

<sup>5</sup> Pajęczycza Tekla z bajki „Pszczółka Maja” – ówczesnie imię kojarzone z brzydkimi i niemłodymi już asystantkami szefa

„Ryćkum-tyćkum, ale żyleta. Czuć tu ostrym babskiem.”

– Przyniosłam umowę – podeszłam i podałam jej papiery.

– Pani od Marcina Różalskiego?

Skinęłam jej głowę.

– Pan Kamiński jest zajęty, więc kazał mi to przedyskutować. Proszę usiąść.

Usiadłam na wskazanym mi przez nią krześle biurowym – ciężkie, miękkie i wygodne krzeselko przyniosło ulgę moim zgalareciałym nogom. Jak wychodziłam od szefa, czułam, że cała pływam. – Powiem wprost: nie potrzebujemy tutaj kogoś, kto będzie zabierał miejsce, a wiem, że nie masz, dziewczyno, za grosz doświadczenia, więc... Przepraszam, ale zupełnie nie wiem, po co on cię zatrudnił.

– Jestem po logistyce.

– No przykro mi, ale masz być jedynie asystentką pana Arkadego, a ja robię dla niego większość pracy. Mamy od logistyki specjalistów... Na szczęście to tylko miesiąc, więc jakoś zleci – powiedziała, jakby już widziała mnie w wyobraźni, jak opuszczam tę firmę.

– Co zatem mam robić?

– Hmm, to głównie zależy od niego. Pewnie wstawią ci jakieś małe biurczko w jego gabinecie i będziesz porządkowała akta... – wzruszyła ramionami rozbawiona – albo tylko przynosiła mu kawę, herbatę i ciastka z automatu.

– Umiem robić muffinki.

Trzydziestopięciolatka zamrugła swoimi doklejanymi rzęsami i zrobiła skwaszoną minę.

– Hmm... mogą być muffinki. Ale nie spodziewaj się, że dostaniesz jakąś odpowiedzialną pracę.

– To chyba dobrze, skoro jestem niedoświadczona – ukorzyłam się, tak jak chciała. Ta rozmowa wyraźnie pokazała mi, gdzie będzie moje miejsce, a ta śliczna paniusia właśnie utwierdzała mnie w przekonaniu, że dla niej, całej firmy i przede wszystkim dla Arkadego: jestem jedynie balastem, który zakotwiczył z łaski w ich luksusowym porcie.

– Podpisz tę umowę i zaczekaj na korytarzu. Napij się w tym czasie kawy czy coś... a ja zapytam Kamińskiego, czy mam ci dawać jakieś biurko – zakończyła z powątpiewaniem. Wstała i wyszła zza swojego, po czym otworzyła przede mną drzwi.

Tak, moje miejsce było na korytarzu.

Pokornie usiadłam na jedynym ustawionym na korytarzu, luksusowym krześle z zieloną tapicerką, żeby poczekać. Zrobiło mi się z wrażenia gorąco, więc ściągnęłam żakiet i zawiesiłam torebkę na oparciu, żeby zrobić sobie trochę przestrzeni. Sekretarka, której imię i nazwisko zdążyłam przeczytać w pośpiechu na jej identyfikatorze – łaskawie nie przedstawiła mi się: Julia Oleska – długo dyskutowała o czymś w gabinecie szefa. W końcu drzwi uchylły się, zrobił to sam Arkady Kaminsky. Na mój widok zmarszczył brwi. Wyglądał, jakby zastanawiał się kim jestem i skąd się tu w ogóle wzięłam. Nagle go olśniło.

– Przepraszam pani Teklo, proszę do środka – powiedział bardzo grzecznie.

Zdumiona, podniosłam się i ruszyłam ku wejściu, w drzwiach jednak wyprzedziła mnie nadąsana Julia, która fuknęła coś pod nosem, następnie zaszyła się w swoim biurze. Pozostawiła po sobie tylko zapach ostrych perfum, które zapewne miały za zadanie drażnić zmysły szefa swoim erotycznym zabarwieniem. Pokornie przeszedłam przez drzwi, które chwilę potem Arkady za mną zamknął. Zwrócił się bezpośrednio do mnie:

– Julka przesadziła, proszę jej wybaczyć. Zaraz będzie biurko dla pani, tymczasem proszę skorzystać z ekspresu i jeśli można, zrobić jedną kawę dla mnie. Lubię mocne espresso z dwoma kostkami cukru. Mam nadzieję, że to nie za trudne jak na początek? – pytał poważnie.

„Ma mnie za idiotkę! To wszystko przez ten blond!”

– Oczywiście, panie Kamiński – odparłam słodziutko.

– Może być „szefie” albo „Arkady”. Nie, lepiej od razu przejdźmy na ty, żeby szło nam szybciej – odwrócił się ode mnie i prędko wrócił do swojego biurka. Było długaśne, z trzema wypasionymi monitorami i dwoma komputerami, których skrzynie widziałam z tej strony pod blatem biurka. On zasiadał w centrum dowodzenia: zawalony z każdej strony papierami. Wtedy zrozumiałam, że to nie seksowny White z „30 pocałunków White’a”<sup>6</sup>, ale zwyczajnie zarobiony facet, który miał na swoich barkach całą firmę. A te stosy papierów krępowały jego ruchy z każdej strony.

Podeszłam do ekspresu, który znajdował się w kąciaku socjalnym, w kącie na prawo od centrum dowodzenia Arkadego. Bezbłędnie przyrządziłam dla niego kawę i z drzeniem rąk podeszłam do jego biurka. Moje dłonie tak się trzęsły, że dźwięk dzwoniącej o spodek filiżanki zwrócił jego brązowe oczy ku mnie – wyjrzały znad sterty teczek, które krępowały ruchy jego prawicy.

– Dobrze się czujesz, Tekla? – zapytał, jakby podejrzewał mnie o szaleństwo.

– Przepraszam. – Obeszłam jego biurko z drugiej strony i zatrzymałam się u jego lewego boku. Niestety, tam też stał stos dokumentów. Nawet nie miał gdzie biedaczek położyć tej kawy. – Może ja zabiorę te papiery? Tam na parapet okna?

– Dobrze, w sumie to już są sprawy zamknięte. – Spojrzał za siebie na prawo i powiedział: – Tam, za tymi drzwiami jest archiwum, trzymam tam większość papierów. Trzeba to będzie poukładać alfabetycznie, podzielić na kraje, rodzaje inwestycji... Uczyli cię czegoś takiego na studiach?

– Tak. – „Przecież to dziecinnie proste! Oby dał mi się bardziej wykazać, bo wyjdę na nieuka.” Przejął ode mnie filiżankę, a ja wzięłam z biurka okropnie ciężki stos teczek. Obciążona ponad moje siły, ruszyłam. Kilka kroków później wysokie szpilki, które miałam na nogach, wywinęły mi psikusa. Potknęłam się o własne buty i... upadłam. Teczki posypały się na lewo i prawo. Jakby tego było mało, spadły mi okulary z nosa.

– Pomogę! – Arkady rzucił mi się na pomoc. Zaczął mnie za ręce podnosić do góry. Owionął mnie zapach jego męskich perfum, który na moment przyćmił moje postrzeganie rzeczywistości.

„Tekla opanuj się! Właśnie, popełniłaś gafę!”

– Przepraszam pana, tak bardzo pana przepraszam! – jęknęłam zrozpaczona. „Ryćkum-tyćkum! Taka flaka już pierwszego dnia pracy! Ba! Pierwszej godziny pracy!”

– Twoje okulary – podał mi moje bryle, a ja założyłam je na nos.

– Szefie, ja to zaraz wszystko sama zrobię! Przysięgam! Odpokutuję ten błąd! Zostanę nawet po godzinach! – błagałam go ze splecionymi dłońmi. – Poukładałam to wszystko tak, jak pan chciał! Tylko proszę mi dać szansę!

A on tylko popatrzył obojętnie na te rozsypane teczki, na mnie i odpowiedział:

– Układaj, przynajmniej nie będziesz się nudzić.

„Co?!” Zdziwiła mnie jego odpowiedź. On też uważał, że w tej firmie nie ma dla mnie zajęcia, że się nie nadaję! Przyjął mnie tylko ze względu na tatę.

Kamiński dotarł do swojego centrum zarządzania.

– Ja i tak nie miałbym czasu ci pomóc, więc... – wzruszył ramionami, usiadł przy swoim biurku i zaczął sączyć kawę. – Możesz je nawet zanieść od razu do archiwum. Jest otwarte. Ja teraz muszę się skupić na pewnej sprawie, więc nie odzywaj się do mnie przez najbliższe dwie godziny. Ok?

Przełknęłam tę pierwszą porażkę i zwałam wszystko na karb tego, że Arkady jeszcze nie zna moich możliwości. Ale skoro układaniem teczek mogłam udowodnić mu moje kompetencje, to czemu nie!?

– Tak, szefie! I będę bardzo cicho, przysięgam!

Skinął mi głową i zanurzył się w tych swoich monitorach i papierach.

---

<sup>6</sup> Nawiązanie do książek typu „50 twarzy Greya” E. L. James czy „Dotyk Crossa” Sylvii Dy

Ulżyło mi, że nie zwolnił mnie, nie zrobił mi nawet bury... Ochocho wzięłam się więc do pracy.

Biurko wnieśli do gabinetu jakąś godzinę później – właściwie był to typowy stół z drewnianym blatem i metalowymi nogami. Postawili mi to pod oknem. Potem wnieśli mi laptopa... A Arkady przez cały czas tkwił uparcie za tymi swoimi ekraniskami. Ja swoją pracę skończyłam dziesięć minut po wniesieniu biurka. Nie chciałam mu przeszkadzać, więc troszkę się porządziłam podczas jego mentalnej nieobecności. Ustawili mi krzesło przodem do okna... a ja odwróciłam sobie wszystko przodem do gabinetu. „Tak, stąd będzie idealnie widać Arkadego.” Uśmiechnęłam się rozmarzona i wlepiłam w niego cielejące spojrzenie. Nawet niekontrolowanie westchnęłam. Pozostało mi tylko poukładać na „biurku” moje bibeloty. Dopiero w tej chwili zorientowałam się, że gdzieś zapodziałam torebkę. Spojrzałam na sofę stojącą w kąciku socjalnym i zobaczyłam ją: różową, dużą torebkę. Skąd się tam wzięła? Nie miałam pojęcia. Leżał tam także mój szary żakiecik. Sekretarka musiała mi to tutaj wrzucić, widać zostawiłam je na korytarzu. Odetchnęłam więc z ulgą i na palcach zakradłam się po moje szpargały. Chwilę później układałam już na stoliku różowe karteczki do pisania, różowy notesik i długopis z długim, różowym, strusim piórkem. Pozostało mi jeszcze uruchomić komputer i zalogować się do systemu, ale z tym musiałam poczekać...

Arkady po prostu przylepił się do tych monitorów i nie potrafił się odkleić przez kolejne dwie godziny. „Czy on w ogóle coś je?!” Ten człowiek wyglądał na pracoholika! Przyjrzałam się mu: na jego czarnej czuprynie widać było pierwszą siwiznę. Myślałam, że jest młodszy, przecież tata wspomniał ostatnio, że ma trzydzieści sześć lat. No tak, był ode mnie starszy o jakieś jedenaście, ale wcale nie robiło mi to różnicy. Był obiektem moich westchnień, lecz czy ja marzyłam o tym, żeby go zdobyć? Jedynie w najśmielszych snach całował mnie do utraty tchu. Zanurzeni w białej panie, wypełniającej całą wannę, jedliśmy truskawki zanurzone w czekoladzie...

– Umieram z głodu, a ty? – odezwał się nagle, przerywając moje marzenia na jawie.

– Tak.

– Przyniesiesz nam coś z bufetu na dole? Mam kolejną robotę. Naprawdę, czasem nie wiem, kiedy mam skorzystać z WC! – zażartował gorzko.

Gdy zobaczyłam jego umęczony wzrok, zrozumiałam, że jest wykończony. Musiałam przejść do działania. Na zewnątrz była ciepła, przyjemna, wiosenna pogoda. Ćwierkały ptaki, liście na drzewach już w pełni się rozwinęły... a w biurze Arkadego tylko szare ściany, drewniane, czarne biurko, regały z papierami i te surowe, wielkie monitory. Nawet sofa była czarna – jakby trumienna.

– Tak, zaraz zajdę na dół i przyniosę nam coś ekstra! – powiedziałam z entuzjazmem. „A przy okazji skoczę do sklepiku obok i kupię jakieś wiosenne kwiatki, które wprowadzą tutaj życie!” W zamian szef uśmiechnął się jednostronnie – widać było, że nie jest mu po drodze z radością. „Ale ja to zaraz zmienię.”

To miał być szybki wypadzik do bufetu i jeszcze szybszy na miasto. Byłam pewna, że wszystko pójdzie po mojej myśli. Niestety, o tej porze dnia wszyscy jadali tutaj obiad, zatem gdy weszłam do środka tej wewnętrznej restauracji w firmie Kaminsky Transporter, aż mnie zatkało! Zakupienie tutaj czegoś na raz-dwa graniczyło z cudem. Przekradłam się boczkami w stronę lady, aby sprawdzić, co ciekawego podają dziś na obiad. „O rany, grochówka! Poważnie?!” Jak wyobraziłam sobie, że każda z tych osób zacznie po tym specjale puszczać baki... „Nie, nie zaszerwuję tego Arkademu!” Wycofałam się chyłkiem i już prawie udało mi się opuścić ten grochówkowy bar, gdy...

– Ups! – usłyszałam tuż przed sobą. Poczulałam, jak zalewa mnie gorąca fala czegoś o zapachu gotowanej fasolki z sosem pomidorowym. – Przepraszam! Nie chciałem!

Ujrzałam przed sobą łysawego pana koło pięćdziesiątki, który z przeproszeniem spoglądał na moją bluzkę... a potem spojrzałam po sobie.

– O nie! – jęknęłam. „I to znów w pierwszym dniu pracy!” To był jakiś koszmar! Obłąd!  
Z góry na dół byłam cała zalana czerwonym sosikiem, który spływał po mnie wprost pod moje nogi. I te przylepione do mnie groszki. Wyglądałam, jakbym się porzygała!  
– Ryćkum-tyćkum! – jęknęłam głośno. Oczy wszystkich spoczęły na mnie. Jedni współczuli, inni śmiali się pod nosem. Tylko jedna osoba z litości podała mi serwetki.  
Zszokowany sprawca wypadku w końcu się zreflektował. Wyciągnął ze swojego portfela dwieście złotych i wręczył mi je z najwyższym stopniem przeproszenia.  
– Pani będzie łaskawa wybaczyć staremu niezdarze – kajał się.  
– Och... – jego skruszona mina powstrzymała we mnie falę frustracji, która cisnęła mi się na usta – no już dobrze. Pójdę szybko coś sobie kupić na przebranie. – Drapnęłam forszę i ruszyłam na szybki podbój odzieżowy, którego miałam zamiar dokonać w najbliższym możliwym butik.

Stałam przed potrójnym zadaniem, które okazało się niemożliwym do wykonania w ciągu kwadransu przerwy – to był jakiś koszmar! Najpierw okazało się, że w okolicy jest tylko ciucholand, z którego musiałam skorzystać. Wybrałam prędko podobne ubrania: różową spódnicę, białą bluzkę i szary żakiet. Zapłaciłam niecałe pięćdziesiąt złotych, bo wszystko było z przeceny siedemdziesięcioprocentowej, jakby mieli to za chwilę rozdać biednym. Jakoś to przeżyłam. Ale gdy okazało się, że w okolicy podają jedynie pizzę z mrożonki i takąż lazaniec... zdecydowałam się na pizzę z serem mozzarella i salami. Pachniała znośnie. Z gorącą jeszcze pizzą udałam się do kwaciarni. Już nogi wchodziły mi pod pachy, tak się ulatałam! Ale udało mi się kupić ładną, wiosenną kompozycję: narcyzy posadzone w szklanej, przezroczystej misie. Ważyło to sporo, ale miła ekspedientka włożyła mi to do torebki na prezenty, więc dałam radę zanieść do windy. Tam spojrzałam na mój różowy zegarek.

– Spóźniona dziesięć minut! – jęknęłam. – Dlaczego ten czas tak zapiernicza?! Boże, żeby mi się tylko winda nie zacięła! – pomodliłam się ekspresowo.

Winda dzięki cudowi wyjechała na piąte piętro. Pozostało mi tylko wejść do gabinetu szefa... I weszłam, lecz nie byłam z siebie zadowolona.

– Szefie, proszę mi wybaczyć – zaczęłam jęczeć od drzwi.

Arkady wyrzwał na mnie zza barykady monitorów z miną taką, jakby mówił „O nie! A myślałam, że się jej pozbyłem!”

Położyłam na stoliku przy sofie pizzę, której zapach zachęcił go jednak do podejścia.

– Pizza?! Dawno nie jadłem niczego spoza baru w firmie.

– Tak... – postawiłam na stole torebkę z prezentem. Wyłożyłam z niej kompozycję kwiatną i postawiłam ją na stoliku. – A to taki mały wiosenny upominek, żeby w biurze szefa pojawiło się troszkę ciepła.

Arkady zapatrzył się na kwitnące gronko narcyzów.

– Czym sobie na to zasłużyłem?

– To z przeprosinami za moje niedociągnięcia – wytłumaczyłam się – i żeby milej się panu pracowało. A skoro już uprzątnęłam teczki po lewej stronie biurka, to myślę, że mogę ustawić kwiaty na tym miejscu? – Ujęłam kompozycję, on wzruszył ramionami, a ja z radością poszłam postawić narcyzy na jego biurku. Następnie otworzyłam okno. – Przewietrzę trochę. Tu jakoś tak zimno jest, a na zewnątrz niemal gorąco!

Arkady usiadł do stolika i otworzył pudełko z pizzą. Nawet na mnie nie zaczekał, tak bardzo był głodny.

„Och, biedaczek. Jedz Arciu, jedz.” Popatrzyłam na niego rozanielona. Po chwili dołączyłam do niego, usiadłam na drugiej połówce sofy. Siedziałam obok niego! Aż serce zaczęło mi łopotać z zamiaru emocji.

– Jedz, Teci – zachęcił mnie.



„Teciū?!” Zdziwiłam się. Zdrobnił moje imię! W tej chwili, w jego ustach nabrało ono tak seksownego wyrazu, że zapomniałam o udawaniu tego, że jestem jakąś tam Laurą. Bycie Tecią w ustach Arkadego Kamińskiego było cudownym uczuciem. Posłusznie sięgnęłam po kawałek pizzy i zaczęłam przeżuwać, choć wolałabym tymi samymi ustami dotknąć jego warg. Tak słodko ciamkał, gdy jadł.

– Faktycznie na zewnątrz jest ładnie – spojrzał w stronę okna usytuowanego na wprost nas.

– Tak, i świeci słońce i kwiaty kwitną... – mówiłam rozmarzona, przyglądając się jego szlachetnemu profilowi. Zauważyłam przy okazji, że jego skóra na policzkach i brodzie zdążyła się już od rana pokryć króciuskim zarostem.

– Jak ja dawno nie byłam na spacerze – westchnął tęsknie.

– To szef nie wychodzi na zewnątrz?

– Nieraz śpię tutaj, na tej sofie, i nie wracam przez kilka dni do domu. – Sięgnął po kolejny kawałek. – A spacerem nie można nazwać wyjścia z biura przez parking, aby dotrzeć do samochodu. To zaledwie pół minuty – zaśmiał się cicho.

– Nie rozumiem tego. – Jego wzrok spoczął na mnie. – Jest pan szefem i nie może wygospodarować dla siebie pół godziny dziennie, aby zakosztować odrobiny swobody?

– To jest właśnie firma, mój ciężar, który ogranicza wolność. – Zatopił swoje białe ząbki w kawałku pizzy, a ja odruchowo oblizalam wargi. Zreflektowałam się szybko, że przestaję nad sobą panować, więc wstałam i zapytałam na odchodne:

– To może czas to zmienić? Niech to firma będzie pańskim niewolnikiem, a nie odwrotnie – cokolwiek miałam na myśli, nie wyszło mi to dobrze. – Przepraszam, muszę do łazienki – ewakuowałam się, zanim zapytał mnie, o co mi chodziło!

Gdy stanęłam tym razem przed lustrem, wyglądałam na wyczerpaną.

„Od teraz zachowasz milczenie i będziesz mówiła tylko mądre rzeczy!” – skrytykowałam siebie w myślach, po czym dodałam radośnie i ochotczo:

– A jutro przyniosę mu muffinki z kawałkami czekolady, hi-hi!

